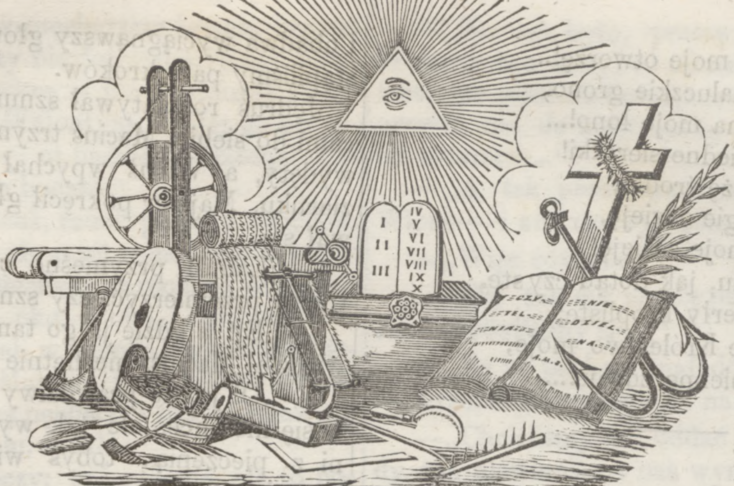
№ 14.
Warszawa.
Dnia 25 Marca
(6 Kwietnia)
1856.
Niedziela
2 PO WIELKIEJ NOCY.



KANTOR GŁÓWNY
W DRUKARNI J. UNGER
przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 391.
PRENUMERATA
rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15.
Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaśjuż prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych Warszaw. płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Boże, któryś przez pokorę Syna Twego świat upadły podniósł, użycz wiernym Twoim wiekuistej radości, aby ci, którycheś od śmierci wybawił, wiecznego wesela zażywać mogli. (Modlitwa kościelna na niedzielę 2gą po Wielkiéj nocy).

Głos z Nieba.

(*S. M. A.* 5—8.)

Pośpieszcie do mnie, którzy cierpicie,
Których goryczą zatrute życie,
Wy, których chwile z każdą godziną
Cięższéj, a coraz powolniéj płyną...!
Ja wam cierpienia wszystkie osłodzę,
I po ciernistéj powiodę drodze;
A jakom ja szedł z ojcowskiéj woli
Po kamienistéj ścieżce niedoli;
Z boleścią w sercu, a czołem w pocie,
Z brzemieniem krzyża, aż na Golgocie
Za was oddałem krew mą i życie,
By zmartwychpowstać na chwały szczycie;
Tak i was, bracia moi cierpiący!
Pośród pielgrzymki życia nużącéj,
Wszystkich w me własne ślady powiodę,
Tam,—gdziem zgotował wieczną nagrodę!..
Wy! którzyście się mię nie zaparli,
A w żywéj wierze nie obumarli,
Dla których życie, nie z róż posłaniem,
Lecz ciężkim bojem, ważném zadaniem;
Którzy, jak moi bracia czciciele,
Choć często z cierniem w sercu utkwionem,
Lecz z czołem ku mnie, w Niebo wzniesionem,
Mojemi ślady stąpacie śmiele;
Zaprawdę, powiém, bez téj przestrogi,
Wejdziecie w mego Królestwa progi!...
Błogosławieni w duchu ubodzy,
Co rozum błędny dzierżą na wodzy:
Dla nich Królestwo będzie Niebieskie!..
Błogosławieni cisi,— bo oni
Ziemię posiędą;—a kto łzy roni,
Ten i pociechy uroni łezkę!.
Błogosławiony ten, który łaknie
Sprawiedliwości,— tej mu nie zbraknie!
I miłosierni błogosławieni,
Bo miłosierdzie im się rozpleni!
Błogosławieni serca czystego,
Bo gdy żywota drogę przebiegą,
Przy Bogu, w pełnéj jasności staną!..
Błogosławieni sprawcy pokoju,
Bo dla nich synów Bożych jest miano!
Błogosławieni, którzy wśród boju
Żywota swego, dla Mnie, dla prawdy
Prześladowanie znoszą; bo zawdy
Dla nich jaśnieją zbawienia zorze,

Dla nich Królestwo moje otworzę!..
A teraz do mnie! maluczkie grono,
Dziatwo kochana! na moje łono!...
Ja was przytulę, biedne sierotki!
I do zbawienia ukażę środki;
Głodne nasycę, nagie odzieję,
A w serca słowo moje zasieję!
Wytrwajcie w życiu, jak dotąd czyste,
Niby łzy wasze, perły kropliste;
Dla was Niebieskie Królestwo moje,
I łaski Bożéj promienne zdroje!...

Pogadanki starego rzemieślnika.

Jeżeli czytając Czytelnię niedzielną, pamiętacie to, coście przeczytali, to przypomnicie sobie z łatwością mego majstra, i trzech chłopców terminatorów: Wicusia przezwanego wisusem, Jędrusia mądrusiem, i Maciusia, co go sami chłopcy nazwali Labusiem, bo o nich już dosyć mówiłem w pierwszéj mojéj pogadance (1).

Otóż będzie temu ze dwa tygodnie, obadwa z majstrem wracaliśmy z kościoła do domu. Majster szedł przodem z książką pod pachą, podpierał się laską, i szeptał pacierze, bo powiadał, że się tak należy, że nie wypada od razu wyszedłszy z domu Bożego, myśleć o światowych i ziemskich rzeczach, ale rozmyślać nabożnie, albo odmawiać pacierze, jeżeli myśl w głowie koniecznie fruwać chce po ziemi, i wydziera się do świata i ludzi. Ja z uszanowaniem szedłem obok majstra, i Bogiem a prawdą nie myślałem, ani nabożnie, ani o pacierzu, ale zerkałem i tu i owdzie, boć to w święto, to ludu dosyć, a wszystko ładnie postrojone, że jakoś z oczami trudno było sobie dać radę. Szczęściem, że majster tego nie widział, bo byłby mi porządną wyciął kapitułę, i tylko raz mruknął coś między zębami, sztuknął silniéj laską o kamienie, i pokręcił wąsa na dół.

Kiedy przyszliśmy do domu, i weszli do pierwszéj izby, chociaż rumotu dosyć narobiliśmy na schodach, zastaliśmy wszystkich trzech chłopców tak zajętych jakąś naradą, że zapomnieli i drzwi zamknąć, i zupełnie nie postrzegli naszego przybycia. Majster zatrzymał się, dał mi znak i obadwa wyciągnąwszy głowy, na palcach postąpiliśmy parę kroków.

Jędruś rozplątywał sznurki i wiązał je końcami do siebie, Maciuś trzymał pęcherz wołowy wydęty, a Wicuś wpychał w niego groch po ziarnku. Majster pokręcił głową, a Jędruś odezwał się.

—„Labuś! przynieśno cybuch majstra, bo trzeba przemierzyć, czy sznurek wystarczy.

—„Ej! a gdzie ja go tam znajdę“— odpowiedział Maciuś, niechętnie kuląc ramionami.

—„O! już to prawdziwy z ciebie Labuś, nic ci się nie chce, ale tak wygnać cię do patelni z pieczenią, tobyś wiedział, gdzie chleba poszukać“.

—„Strasznieś mądry, widzisz go.“

—„Ot nie kłóćcie się, majster niedługo przyjdzie“— odezwał się Wicuś—„sznurek wystarczy, dawaj go, trzeba przywiązać pęcherz, a jak tylko się zciemni, ty Labuś staniesz w sieni na dole, i jak tylko zobaczysz, że idzie pan Walenty, zaczniesz kasłać, jakby cię co zadusiło, rozumiesz?

—„No już cić rozumiem“—odpowiedział Maciuś, i poruszył ramionami, jakby go co ukąsiło w plecy.

—„Tylko nie zaśnij...

—„Ej!

—„A umiesz ty udawać kaszel?— no kaszlnij no.“—Maciuś kaszlnął, ale nie tęgo, ot tak sobie zwyczajnie, dlatego Wicuś szarpnął go z gniewem i odezwał się:

—„Oj! ty Labusiu nawet kasłać porządnie nie umiesz, po takiem kasłaniu to ktoby zmiarkował, że to jest znak między nami umówiony? Ot widzisz to się tak kaszle.“

I Wicuś to rzekłszy, tak się zakasłał głośno, że aż szyby w oknach zabrzęczały. Maciuś powtórzył raz drugi, i widać, że nauka w las nie poszła, bo go Wicuś pogłaskał po twarzy i rzekł:

—„Dobrze, dobrze Labusiu kochany, tylko nas słuchaj, i spraw się dobrze, to zobaczysz co to będzie śmiechu. Otóż widzisz jak tylko dasz nam znak, tak ty Jędruś pobiegniesz na górę, podłożysz pęcherz z grochem pod same drzwi pana Walentego, a ja ze sznurkiem zostanę na dole. Jak tylko pan Walenty będzie dochodził do swojego mieszkania, ja poruszę sznurkiem, pęcherz zabębni, a pan Walenty wrzaśnie „wszelki duch chwali Pana Boga.“— Ja znowu ruszę pęcherzem, pan Walenty zatrzyma się, pocze-

(1) Patrz Nr. 6 Czytelni Niedzielnéj.

ka chwilkę, a ja znowu pęcherzem brrum, brrum! Wtedy pan Walenty nie dotrzyma. i daléj w nogi po schodach, dopiero ja też za sznurek i z pęcherzem za panem Walentym, i dalej go po nogach, po łydkach,— oj będzie to uciecha! Patrzcie, ot tak będzie huczał.“

I to rzekłszy Wicuś, rzucił pęcherz z wielkim szumem na ziemię, ale w téj saméj chwili, kiedy się chłopcy ze śmiechem zwrócili za nim, stanęli naprzeciw nas oko w oko, zaczerwienieli się, oczy pospuszczali w ziemię, i zapomnieli języka w gębie.— Majster postąpił na środek izby, popchnął laską pęcherz, i przysłuchawszy się jego grzechotaniu, rzekł:

—„Ślicznie brzęczy; ani gadania, ale to porządna sztuka, widać z ukraińskiego wołu.“

Jędruś z Wicusiem owijając sznurek na palcach i nie śmiejąc kroku postąpić, westchnęli. Maciuś przestąpił z nogi na nogę, a majster pokręciwszy głową, wywinął laską młynka, szarpnął wąsa, i rzekł.

—„Wicuś!— wystąp przed front, bo wiem naprzód, że to twoja sprawka...“

—„Proszę pana majstra...“

—„Milczeć smarkaczu“— krzyknął majster, i sztuknął nogą i laską— „odpowiadaj na to, co się zapytam. Na co ten pęcherz?—hę?

—„Proszę pana majstra...“ zaczął bąkać Wicuś— „my dzisiaj... ej! nie, bo to już dawno... to proszę pana majstra, to... to...“ i w tem miejscu przełknął, jakby go co zadławiło.

Majster zbliżył się ku niemu, pogładził go po twarzy, i rzekł:

—„Biedaczek jak to go dusi, przed chwilą latał mu język jak na kołowrocie, a teraz na tak małą rzecz odpowiedzieć nie umie.— Biedaczek, ale nie lękaj się, wiesz przecie, że ja i doktora kawałek, mam bańki, smarowanie, to cię w jednéj chwili wyleczę.“

Na te słowa chłopcom, uważałem, że się zimno zrobiło, bo zbledli, spojrzeli na majstra, i wszyscy trzej poruszyli się niespokojnie. Ja milczałem, majster pokręcał wąsa, i po chwilce zupełnéj cichości, wystąpił na środek Jędruś, i całując majstra w rękę rzekł:

—„Niech się pan Majster nie gniewa, ja wszystko powiem prawdę.“

—„Dobrze mój mądrusiu, uczciwy człowiek zawsze prawdę powinien mówić, i tylko hultaj ratuje się kłamstwem, mów więc, kiedy Wicusiowi język skołowaciał?

—„To tak było, proszę pana majstra. Pan Walenty ten stary, co mieszka na trzeciém piętrze, cóś sobie do nas upatrzył, i żadnemu z nas przejść nie da koło siebie, żeby nie zwymyślał od ostatnich...“

—„A tak proszę pana majstra“— przerwał Wicuś— i zawsze wymyśla na nas od złodziei...

—„Więc cóż dalej?

—„Ha! tak my proszę pana majstra, bardzo tem martwiliśmy się...“

—„Że aż pęcherz naładowaliście grochem“ — przerwał majster—„i na cóż to?

—„Chcieliśmy mu oddać wet za wet, bo kiedy tak niewinnie na nas wymyśla...

—„Jakto niewinnie?

—„Jużcić niewinnie“— odpowiedział Jędruś —„bo przecieć żaden z nas nie jest złodziejem, i nikt nie dowiedzie, żebyśmy co komu ukradli.“

—„Oj! przemądrowałeś mój Mądrusiu, bo ja ci powiadam, że pan Walenty ma zupełną racją, że was tak brzydko nazywa.“

—„Jakto proszę pana majstra“— troszkę nieśmiało zapytał Wicuś—„to my złodzieje?

—„Tak jest, złodzieje samych siebie. Ażebyście lepiéj tę rzecz zrozumieli, posłuchajcie. Baczność więc!— uszy do góry“— i przy tych słowach pokręciwszy wąsa, majster zapytał:

—„Powiédzcie mi, gdzie to mieści się zakaz Boski *nie kradnij*“?

—W dziesięciorgu Bożych przykazaniach, odpowiedzieli chłopcy, a Maciuś sądząc zapewne, że to przed spaniem, bo strasznie z niego jest ospałe chłopaczysko, więc zaczął dalej mówić, mrużąc oczami.

—„Pierwsze, nie będziesz miał Bogów cudzych przedemną.

—„Drugie— nie bę...“

—„Dosyć tego, to nie pora na pacierz, krzyknął majster, któż ci go każe powtarzać?“

Mimo strachu Jędruś i Wicuś nie mogli się od śmiechu utrzymać, i jak jeden tylko mruknął, drugi zatykając usta, parsknął śmiechem, i potem obadwa dalej w chychotki.— I nie można się było temu dziwić, bo spojrzawszy na Maciusia, na jego rozczochraną czupryne, na przestraszoną krzywiącą się twarz od płaczu, i na mrugające raz po raz zaspane oczy, ja sam o mało się w głos nie rozśmiałem, a majster widziałem, że śmiech tylko dusił w sobie.— Ale po chwili twarz u majstra uspokoiła się; przybie-

rając dawny wyraz poczciwy i szlachetny, i kręcąc wąsem na palcu odezwał się:

—„Jakoś chłopcy na wesołości wam nie zbywa, chociaż bizon wisi nad plecami, ale potém o tém, a teraz baczność!“

Chłopcy w jednéj chwili śmiechu zaprzestali, bo wiedzieli, że z majstrem nie przelewki, wyprostowali się, westchnęli, a majster mówił daléj.

—„Powiedzcie mi teraz, co to znaczy *nie kradnij?*— jak rozumieć ten zakaz Boży?

—„Nie kradnij, proszę pana majstra“— odezwał się Jędruś— „to znaczy się nie bierz tego, co nie twoje“.

—„Dobrze, bardzo dobrze— więc któż jest złodziejem?“

—„A ten proszę pana majstra, co kradnie, czyli bierze to, co do niego nie należy“

—„Prześlicznie, więc powiedzcież mi teraz, czem wy jesteście?

—„A terminatorami, proszę pana majstra“.

—„I cóż dostajecie odemnie?

—„Jużcić jedzenie“— mruknął Jędruś— „stancyę, i odziewek“.

—„A za to jakiż macie obowiązek?“

—„Uczyć się swego rzemiosła, i robić wszystko to, co nam pan majster rozkaże“.

—„Prześlicznie mój Mądrusiu— więc wszystek czas na robotę przeznaczony, od siódméj rano do ósméj wieczorem, do kogo należy, —do mnie, czy do was?“

—„Jużcić do pana majstra“.

—„Więc czas ten jest moją własnością?

—„A tak jest, proszę pana majstra“.

—„Więc jeżeli czas ten nie przepędzacie na robocie, ale go marnujecie, np. poślę cię ja, lub czeladnik gdzie po co na miasto, to ty zamiast to sprawić wgalop, i wracać do domu, gapisz się po sklepach, po oknach, ślizgasz po rynsztokach, gonisz żydów, albo wodzisz się za łby z drugiemi chłopakami, i zamiast sprawienia wszystkiego przez kwadrans, zbałamucisz najmniéj z godzinę, to jakże, nie okradasz mnie z czasu, który do mnie należy, a za który daję wam jedzenie, stancyę i ubranie?

Chłopcy nic na to nie odpowiedzieli, przestąpili tylko z nogi na nogę. Wicuś spojrzał na majstra bardzo miłosiernie,bo poczuł, że w takiem bałamuceniu czasu on jest największym winowajcą, a majster mówił daléj.

—„Jeżeli znowu siedzicie przy robocie, i zamiast myśleć o niéj i starać się, żeby jak najprędzéj ją dokonać, i usposobić się tak, żebyście nie byli dla mnie ciężarem, ale pracą swoją przynosili mi dochód, i wynagrodzenie za ten czas, kiedy was darmo prawie żywiłem i okrywałem, to wam po głowie latają psie figle, jak dokuczyć panu Walentemu, jak się wyłgać i wykręcić przed majstrem lub czeladnikiem, gdy was będą łajać o lenistwo i niechęć w nauczeniu się roboty; jak co złasować, albo jak wykpić się od roboty, żeby czemprędzéj pójść spać na posłanie, to jakże, nie okradacie mnie z czasu, który jak powiadacie, w całości do mnie należy?“ Przy tych słowach majster zatrzymał się, a Jędruś z Maciusiem spojrzeli na niego miłosiernie, boć oczywiście do nich obydwóch najwięcéj słowa te zmierzały.

—„Ale to nie dosyć, mówił daléj majster— „byłoby to pół biedy jeszcze, gdyby marnując, czyli kradnąc czas, mnie tylko z tego szkoda spotykała.— Ale wy jeszcze gorzéj robicie, bo postępując tak, okradacie sami siebie, i niszczycie bezpożytecznie najdroższy skarb, jaki Bóg dał ludziom, to jest młodość i najlepsze chwile do nauki, i usposobienia się na użytecznego człowieka.—Przyjdzie bowiem niedziela, to was prawie kijem trzeba wyganiać do szkoły.— Siedzicie w szkole, to zamiast całą uwagę poświęcić temu, co nauczyciel wykłada, zamiast każde słowo jego chwytać chciwie uszami, i na wieki zapisywać w pamięci, to wy myślicie często, jak oszukać nauczyciela, żeby was nie łajał; tu niby piszesz albo czytasz, a tam w głowie siedzi ci piłka, albo ślizgawka i łyżwy, słowem nauka idzie tylko, aby zbyć, i czego przy chęci nauczyłbyś się w jeden dzień, na jednéj lekcyi, to często i miesiąc i kwartał czasu nie wystarczy. Ponieważ nauka idzie z oporem, więc gdy skończycie szkoły, to zaledwie nauczycie się bazgrać piórem jak kura, i dukać na książce, jak jąkały, a to jeszcze nic prawie, bo to dopiero, jakby umieć dratwy kręcić i szydło trzymać wręku, a nie umieć buta zrobić. A czy tyle umiejąc można być szewcem? Czy umiejąc tylko troszkę bazgrać, i licho czytać, można być człowiekiem?

—„Jużcić można być proszę pana majstra“ przerwał Jędruś—„bo przecieć nikt na mnie nie powie, że ja kot albo wróbel, tylko, że człowiek jestem.“

—„Prawda mój Mądrusiu, żeś człowiek, ale tylko z wierzchu, to jest z tego, że masz jak lu-

dzie dwie ręce, dwie nogi, nos, usta, i możesz mówić, czyli gadać, czego zwierzęta nie umieją; ale z duszy nie będziesz póty człowiekiem, dopóki przez naukę nie nabędziesz rozumu, którego zwierzęta nie mają, dopóki nie usposobisz się zamłodu na poczciwego, rozsądnego i zdatnego rzemieślnika, dopóki nie nauczysz się pracować sam na siebie. A okradając mnie i siebie z czasu, jak to wam przełożyłem, to kiedyż to nastąpi? Moje dzieci, widzicie, że na świecie wszyscy się uczą: włościanin na wsi uczy się roboty z kosą, sierpem, pługiem i innemi gospodarskiemi narzędziami każdy rzemieślnik młotem, szydłem, igłą, pilnikiem i t. d., urzędnik wprzód aplikuje, duchowny zostaje klerykiem, doktór, prawnik, mechanik, budowniczy dobrze wprzódy po nocy napocą czoła nad książkami, zanim w świat pójdą na swoję rękę. Nawet konia, wołu, zamłodu wprawiają do pługa, lub wozu, czyli uczą go roboty, a wy byście tylko jedni chcieli młodość na figielkach, na baraszkach przepędzić,— i tylko z musu nabywać naukę i uczyć się pracy?— Oj! dzieci pamiętajcie, że starzy Polacy, nasi poczciwi przodkowie powiadali: *jak kto sobie pościele, tak się wyśpi*, czyli jakiéj się człowiek za młodu nauczy roboty, taki będzie na starość chléb jadł.— A czy wy widzicie, żeby baraszki, figle, gapienie się po oknach, dokuczanie przechodzącym żydom, ślizgawka, piłka, przyrządzanie pęcherza z grochem, lub inne podobne zbezeceństwa dawały chleb komu?— Czy widzieliście kiedy, żeby za podobne rzeczy płacono?—Strzeżcie się więc, dzieci, przepędzać młodość swą jedynie na podobnem marnowaniu czasu; myślcie o pracy, o nauce, *bo czas płynie jak woda, i w sto koni go nie zgoni*, młodość prędko minie, a czego zamłodu nie nauczysz się, tego już w poźniejszym wieku nie zyskasz. Dlatego też, że figle u was pierwsze jak praca i nauka, że nie ma dnia prawie, żebyście napróżno bardzo wiele czasu nie zmarnowali, że przez to robicie szkodę i mnie i sobie, bo mnie okradacie z czasu, który do mnie w całości należy, a siebie ze sposobnych chwil do nauki i uczenia się waszego rzemiosła; więc dlatego powiedziałem, że w brzydkiém przezywaniu was pana Walentego jest dużo prawdy, bo każdy próżniak, hultaj, nygus, nic dobrze zrobić nie umiejący, nie mogący na swoje utrzymanie zarobić, tylko będący ciężarem dla drugich, lub wydrwigroszem, chociaż nie jest takim złodziejem, jak ci, co siedzą w kryminale, ale zawsze jest złodziejem samego siebie, bo marnuje, czyli kradnie sam sobie czas bezpożytecznie; jest złodziejem względem bliźnich swoich, bo nie daje z siebie żadnéj pożytecznéj pracy, a jednak żyje, zajada i zapija. Chłopcy, pamiętajcie więc, że każda chwila zmarnowana na próżniactwie, na figlach i baraszkach, i na jakiem tam niepotrzebnem bałamuctwie, jest najprostszą kradzieżą czasu, która nigdy na dobre nie wyjdzie człowiekowi. Zrozumiano?“

—„Zrozumiano, proszę pana majstra“— odpowiedzieli chłopcy, a Jędruś dodał:

—„Tylko proszę pana majstra, mnie się jedna rzecz nie może pomieścić w głowie...“

—„No, jakaż to?

—„Ej! kiedy nie śmiem,“ i boję się, żeby pan majster za uszy mię nie wyciągnął.

—„No-no, bądź spokojny, gadaj wszystko, a włos ci z głowy nie spadnie.“

—„Kiedy pan majster pozwala, to i powiem.“ —i Jędruś poskrobawszy się po głowie, odchrząknął, i mówił daléj— „to proszę pana majstra, ten chłopak Józef, co go już z trzeciego terminu wyganiają, to kradnie czas i jest złodziejem samego siebie?.“

—„Tak jest, tak“

—„To Józef czeladnik, co za bałamucenie ściągali go nawet do Komisarza, i zawsze nic mu się robić nie chce, tylkoby tańczył i hulał, także jest złodziejem względem siebie i względem bliźnich; bo sam mało pracuje, a równie żyje, zajada i zapija?

—„A naturalnie mój Mądrusiu, ty widzę chłopiec nie w ciemię bity.“

—„Więc każdy, proszę pana majstra, kto niepotrzebnie bałamuci, popełnia kradzież czasu, i przez to bardzo źle robi?

—„Każdy, każdy, mój Jędrusiu, i bardzo się cieszę, że tak uważałeś na to, co mówiłem.

Jędruś na te słowa zamilkł, i pokręcił głową, jakby się namyślał, co zobaczywszy majster i nie słysząc dalszych zapytań, odezwał się.

—„No, to powiedzże mi, co ci się to nie chce w głowie pomieścić.

—„Ej to to, proszę pana majstra“— odrzekł nieśmiało i troszkę ciszéj Jędruś— „że tamtéj niedzieli, jak pan majster wrócił po dwunastéj w nocy z bawarskiego piwa, to słyszałem, jak pani majstrowa nazywała pana majstra bałamutem, utracyuszem, że zamiast spać, to pan maj-

ster bezpotrzebnie bałamuci, i potem na drugi dzień ani do dojrzenia warsztatu, ani do roboty nie będzie zdatny.— A przecie żeby taka rzecz była kradzieżą czasu, jak nam pan majster powiada, toby pan majster takiej rzeczy nie robił, wszak prawda, proszę pana majstra?" i to rzekłszy pocałował majstra w rękę.— Majster nic na to nie odrzekł, tylko pokręcał wąsa, przytupywał nogą, i coś niby jakby pośpiewywał, ale widziałem, że mu jakoś nie kleiła się mowa w ustach, bo ciągle milczał, i troszkę się nawet zaczerwienił.— Z kłopotu tego ledwo w głos się nie rozśmiałem, ale wkrótce znowu się Jędruś odezwał wskazując na mnie.

—„Albo pan Paweł; co już dwie niedziele jak wracał zawsze zpod murzynów nad ranem, i co potem tylko się kiwał i spał nad robotą, to jakże proszę pana majstra robiłby to, żeby to było kradzieżą samego siebie? Albo pani majstrowa, co jak czasem pójdzie do miasta i zagada się z przyjaciółkami, z kumeczkami, albo też i tu w kamienicy z jakiemi tam znajomemi, to robota stoi, i potem nic nie jest w swoim czasie, ani gotowanie, ani pomywanie garnków, ani spanie, to jakże robiła by to pani majstrowa, żeby to było kradzieżą czasu? My, to co innego, bo jeszcze nie mamy dobrego rozumu, ale pan majster, pani majstrowa, pan Paweł, to przecieć wcale co innego......."

—„Oj! łotrze masz ty go za dziesięciu— przerwał wreszcie majster, gdy ja, jak rak, cały w ponsie stanąłem— a wy chłopcy pamiętajcie, że co jest złem, to jest złem zawsze i wszędzie— a że próżniactwo i marnowanie czasu jest złem rzeczywistem, więc jest złem zarówno w chłopcu terminatorze, jak w czeladniku, lub w samym majstrze lub majstrowéj. Wy zaś nie zapatrujcie się na złe, tylko na dobre przykłady; więc jak ja wracam o 12 w nocy, co mi się nader rzadko zdarza, albo pan Paweł zpod murzynów nad ranem, albo pani majstrowa bezpotrzebnie zabałamuci się w mieście, lub zagada w sieni ze znajomemi, to wy ponakrywajcie głowy, i nie patrzcie, udajcie nawet, że nas nie widzicie.— Zrozumiano?

—„Zrozumiano, proszę pana majstra".

—„Więc cóż się stanie z pęcherzem?

—„A już damy pokój panu Walentemu, a jeżeli pan majster pozwoli, tobyśmy troszkę pobiegali po podwórzu.

—„Bardzo pięknie, moje dzieci, bo starych ludzi zawsze należy szanować, jeżeli chcemy, żeby nas kiedyś podobnie uszanowano, a niewinna zabawa nieszkodząca nikomu, w czasie właściwym, jest i miła, i zdrowa, i pewno spodoba się Bogu i ludziom.—Marsz więc! a pamiętajcie starać się tak, żebym nie powiedział, że stary pan Walenty ma słuszność tak was brzydko przezywać, to wówczas już ja sam ujmę się za wami, i wytłumaczę, że jesteście pilni, pracowici, chętni do nauki, i że ani z jednéj chwili czasu siebie na marnotrastwo nie okradacie".

—„Chłopcy radzi, że im się z figlem tak ładnie upiekło, ucałowali poczciwemu majstrowi ręce, i poskoczyli ku drzwiom, a majster przechodząc koło mnie, rzekł.

—„Patrzaj Pawełku, jakie oczy mamy nad sobą?— Pamiętajże więc nie dawać nigdy złego przykładu, bo kto zgorszy jednego z małych, to godzien, aby mu kamień przywiązać do szyi i utopić.— A złe prędzéj lgnie jak dobre do ludzi, i nauka stanie się tylko próżnym brzękiem, jeżeli my starsi nie będziem młodszym zawsze i wszędzie dawać dobrego przykładu".

To rzekłszy majster, poprawił wąsów, kołnierzyków, musknął się po czupurynie, i wszedł do drugiéj izby.

O pijaństwie.

Wy Macieju, coście tak mądrzy, powiedźcie mi szczerze, czy wódka w istocie tak szkodliwa, jak nam to dziś ksiądz proboszcz na kazaniu prawił? Przecież to człowiek, jak wypije półkwaterek, to zaraz zupełnie inakszy; jak wychyli jeszcze i drugi, toć i humor lepszy, i do pracy jakoś rzeźwiejszy. Po trzecim, to człowiekowi zdaje się, jak gdyby cały świat należał do niego, ochota się rodzi, a z myślą wesołą, rad też sobie zanuci, i utnie oberka.

—Oj prawdać, prawdać Janku, ksiądz miał słuszność, iż nam tak ohydnie pijaństwo odmalował. Choć nie przeczę wam, że niekiedy jeden półkwaterek, zwłaszcza po pracy, toć człeku nie zawadzi, i w lepszy humor go wprowadzi, nie należy jednak, aby za tym poszedł drugi, trzeci, i tak daléj, by człek tym sposobem nie nabył obrzydłego nałogu, a stawszy się raz pijanicą, nie wałęsał się po ziemi, jak zwierzę.

Boć pijany, toć jeszcze gorzéj, niż zwierzę, u niego jakoś i myśli się nie szykują; w ciele idzie wszystko nie po swojemu. Nasłuchałem ci ja się nie raz, będąc u doktora na służbie, co się to dzieje z człowiekiem, jak się upije, a wszystko tak rychtyk, jak gdybym sam na to patrzał. Kiedyście więc ciekawi, a chcecie mię usłuchać, to i powiem, co sam słyszałem, a niech to wam służy na pożytek, a Bogu ku chwale.

Oto trzeba wam wiedzieć, że u pijanego na samprzód cierpi żołądek, ztąd też jak zaraz następują nudności, potém wymioty, a w skutek tego, człowiek taki zaczyna późniéj i źle trawić. A myśli, co się tak po głowie snują pijanicy bez ładu często do tego stopnia, że zupełnie zapomina o sobie, i staje się bezprzytomnym i bezczułym, że jak kłoda powala się na ziemię; to pochodzi z tego, że i mózg równie zaczyna cierpieć. Z téj saméj także przyczyny ręce i nogi słabieją, drgają, a człowiek nie będąc panem siebie, z trudnością chodząc, powłóczy nogami. A pamiętaszno tego Kubę, co to łońskiego roku, tak zmarł nagle, że nawet i nie chorował wprzódy, a wszyscy się dziwowali, jak to być mogło, aby człowiek, by dąb jaki, mógł umrzeć, nie chorując pierwéj.

— A jakżebym nie miał pamiętać, wszakże mu się, jak tam ludzie opowiadali, na jakąś apoplexyę zmarło.

— W istocie mieli słuszność, ale co było powodem do tego? a to wódka — nic więcéj, tylko wódka go zgubiła. — Czy na frasunek, czy na ochotę, Kuba zawsze biegł do karczmy, a choć mu nieraz ten obrzydliwy nałóg naganiałem, i przedstawiałem zgubne skutki, toć on i słuchać nie chciał. Bywało, ja mu do serca przemawiam, a on na to: co wy tam wiecie Macieju, zobaczycie, że mi nic nie będzie.

Pokazało się jednak, że Pan Bóg, aby dać innym naukę, inaczej rozporządził, bo gdy raz, jak wiecie poszedł na kiermasz, a swoim zwyczajem spotkawszy się ze znajomymi, zalał dobrze pałkę, powracając w ciemną noc do siebie, upadł w przykopę, w któréj go dopiero na zajutrz nieżywego znaleziono.

Gdyśmy potém trzeciego dnia z moim panem na rewizyę ciała (co ją to zowią obdukcyą) zjechali, tośmy krew na mózgu czarnusieńką, gdyby smoła znaleźli, a wnętrzności tak spalone, jak karmazyn. Przypatrzno się Macieju, powiedział Pan do mnie, — a to skutki wódki, człowiek ten tak krzepki i silny, gdyby się nie był upił, nie dostałby apoplexyi, i Bóg wié, jak długoby żył jeszcze.

— A gdyby go jeszcze żyjącego kto zawczasu w przykopie znalazł, czyby się udało przyprowadzić go do zmysłów, i życie mu uratować?

— Czemuż nie, wszakże są sposoby, że w mocnym stopniu spitego, gdy grozi mu niebezpieczeństwo życia, można często i bez pomocy doktora do przytomności doprowadzić. Pan mój i tego mię nauczył, a że mi się już kilka razy z jego łaski, uratować człowieka udało, więc wam chętnie opowiem, co to czynić należy z bezprzytomnym pijanym, pierwéj, nim zawezwany doktor przybędzie.

Przedewszystkiém starać się potrzeba wzbudzić wymioty, drażniąc gardło piórem lub trzonkiem łyżki, lub przez podawanie mu do picia w jak największéj ilości, wody letniéj. Po wzbudzeniu tychże podawać wodę w połowie z octem zmięszaną. W czasie tego daje mu się jedna, lub więcéj lewatyw z wody i octu z solą kuchenną, a twarz skrapia się octem. Jeżeli pomimo użycia tych środków, stan otrętwienia i bezprzytomności nie ustaje, podaje się w jakiś czas do picia woda, z kilku do kilkunastu kroplami salamoniaku płynnego, jednak z ostrożnością tego używać należy.

— A toć to pijanego do zmysłów przyprowadzić, nie tak trudno, jakby się zdawało?

— Nie koniecznie; widziałem ci ja nieraz wypadki choć się wszystko robiło, to ani rusz — jak leżał — tak leży, oczy w słup, twarz sina obrzmiała, policzki wydęte, a z głowy, to tylko ogień bucha. Wtedy źle bracie, co żywo trzeba spieszyć po doktora, a tymczasem chrzan lub gorczycę kłaść na łydki, a głowę bezustannie zlewać wodą zimną.

— Że też to ludzie tak mało mają rozumu, że co dzień prawie widząc skutki opilstwa, ciągle jeszcze piją i piją. — Znacie zapewne tego Franka cieslę, a to on już i całe mienie przepił — żona się zamartwiła, i zmarła, dzieci poniszczały i poszły w poniewierkę między ludzi, a jego to jakiś robak gryźć musi, bo go tak ciągle zalewa. Toć i zmieniło się człeczysko okropnie, w głowie jakoś niespełna, i chodzić już raźno nie może, a trzęsie się, kieby też starzec.

— Nie robak ci go żaden gryzie, ale wódka i sumienie. Toć to robak najgorszy, bo kto nie ma Boga w sercu, a rozumu w głowie, to go

taki i wiecznie gryźć będzie.— Przypatrzno się tylko Frankowi, a przekonasz się, jakie to wódka straszne wyrabia w człowieku zniszczenia i jak się ten stanie nałogowym pijanicą. A naprzód cierpieć zaczyna trawienie ciała, powoli utraca zupełnie chęć do jadła i natomiast zdaje mu się, jak gdyby ciągłą gorączką i nienasyconém pragnieniem był trawiony. Zprzyczyny zepsucia żołądka, następują prawie ciągłe nudności osobliwie w porze rannéj, a często nawet i wymioty same przez się przychodzą.— Z otępieniem coraz większem rozumu i przytomności, zjawia się bezład myśli, a człowiek cały dzień w stanie napół ospałym pozostaje. Osłabiony tak, i do niczego niezdolny, z twarzą obrzmiałą, czerwononosiną—wydętemi policzkami, z oczyma wpół przymkniętemi, krwią zaszłemi, głosem ochrypłym sam z sobą rozmawiając, wałęsa się opilec z kąta w kąt, a gasząc trunkiem to nieustające w nim i trapiące go pragnienie, co chwila nowego dolewa w siebie ognia; otępiałe już zupełnie i nawpół zezwierzęcone stworzenie zapomina w końcu, iż żyje na świecie, myśli tylko bezładu kiedyniekiedy plączą mu się jeszcze po głowie, któréj powoli nawet ręce i nogi wypowiadać zaczynają posłuszeństwo.

Chód coraz leniwszy, trzęsący, obrzmiałe nogi podnoszą się z ciężkością, jak gdyby centnary do nich przywiązane były, a drganie prawie ciągłe okazuje się w całem ciele, zwłaszcza w rękach, często do tego stopnia, że człowiek w nich i najmniejszego drobiazgu utrzymać nie może. Stan tego rodzaju w człowieku nałogowym, nazwany *Obłędem opilczym*, przechodzi prawie zawsze w zupełną bezwładność i gorączkę, w któréj nieszczęśliwy leżąc bezprzytomnie, widzi najczęściéj około siebie samych djabłów różnéj postaci i wielkości, ciągle na jego zgubę czychających.— Wpół bezwładnemi i drgającemi rękami- stara się ich od siebie odepchnąć, wkońcu dręczony widziadłami, ducha oddaje.— Okropna ta choroba, nader trudną a częstokroć i niepodobną jest do wyleczenia.

Janek słuchał ciekawie opowiadania Macieja, zamyślił się głęboko, a gdy ten skończył, westchnął— i powiedział:

— Teraz Macieju! gdyście mi to tak gładko opowiedzieli, jakbym czytał z książki,— to rozumiem jasno jak na dłoni co ksiądz proboszcz z ambony mówił.

Ba, ba— spotkałem nawet niedawno sam biednego Franka— jemu widać coś w głowie już świtać zaczyna; gadał mi takie niestworzone rzeczy, ażem myślał, że go zły duch opętał.

— Ej! gdzie tam djabeł, mój Janku, to wódka tak przez niego gadała!

Ogłoszenie.

Podaje się do powszechnéj wiadomości, że w Zakładzie pod nazwą S. Wincentego à Paulo, przy ulicy Chmielnéj Nr. 1,527, wyłącznie dla dzieci biednych rzemieślników i służących otwartym, a zostającym pod głównym kierunkiem i zarządem JW. hrabiny Alexandry Potockiéj, w dzień S. Józefa, to jest dnia 19 marca, r. b. została wylosowaną do przyjęcia, w obecności JW. Prezydującéj i Członków Zarządu, *Julja Bojarska* jedenastoletnia córka Wojciecha i Józefy, zamieszkała przy rodzicach pod Nr. 1,129 przy ulicy Żelaznéj.

Podług poprzedniego ogłoszenia przyjętą ona zostanie do Zakładu d. 2 maja r. b.

Nowy zapis na kandydatki rozpocznie się z dniem 3 kwietnia r. b. w domu Buchaltera Zarządu przy ulicy Sto- Krzyzkiéj Nr. 1,343.— losowanie zaś na przyjęcie trzeciéj kandydatki odbędzie się w dniu 2 maja 1856.

O szczegółach, czytelnicy we właściwym czasie, przez pismo nasze uwiadomieni zostaną.

Przysłowia.

1. Kiedyś robił jak przystało, nie płacz że się nie udało.
2. Kto wie, co statek, nie wie, co niedostatek.
3. Długo się namyślaj, a spiesznie, wykonaj.
4. Kto się wiatrem karmi, nie utyje.
5. Kogo Pan Bóg kocha, na tego krzyżyki zsyła.

W drukarni J. Unger. — Wolno drukować.—Warszawa d. 22 Marca (4 Kwietnia) 1856 r. — Starszy cenzor *F. Sobieszczański*